

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok VI.

Warszawa, dnia 9 Maja 1914 roku

No 19.

Andrzej Strug.

„Pieniądz”

Wszelkie prawa autor-
skie i wydawców za-
strzeżone.

Powieść z obcego życia.

18

W pierwszych czasach olśnienia ludziła się, że pod jej wpływem kolosalny majątek Jenny przyczyni się do zwycięstwa dobrej sprawy, że nagromadzone setki milionów ożywią ruch społeczny, ulżą nędzy, stworzą szereg nowych instytucji.

Ostrożnie i umiejętnie działała w tym kierunku. Jenny pozostała obcą tym pracom, ale czeki podpisywała chętnie i to na wszelką wymienioną sumę. Za jej pieniądze wydawano już kilka pism, za jej pieniądze kilkadziesiąt agitatorek czyniło ruch i zgiełk po całym kraju, za jej pieniądze kwestya kobieca w Stanach mogła być łatwo rozwiązana...

Ale po roku zawahała się ideowość i ideologia mistress Brigs. Oddaliła się od ruchu, zawarła się w sobie i w swoich coraz trudniejszych obowiązkach. Zaczęły się fantastyczne podróże Jenny. Dama do towarzysztwa i opiekunka po raz pierwszy w życiu zobaczyła szeroki, odmienny świat o starej kulturze, jego uroczą rozmaitość, jego starodawne pomniki i pamiątki, jego świetne, piękne stolice.

Jej dusza rozrosła się, rozszerzyły się widnokreśli przed jej już dojrzałym umysłem. Jakgdyby dopiero teraz zrozumiała prawdziwy sens świata i rację bytu człowieka; władać wszystkim, panować nad każdym. Z zamętu trudnego przetwarzania się wydobyła się już inna i już świadoma własnego przewrotu.

Cierpiała bardzo, gdyż nie widziała sposobu dobycia się z nędzy zależności aż na szczyty społeczne. Pokusa prześladowała ją, jak nieprawdopodobna chimera. Gardziła wszystkim, co dawało jej życie, jako opiekunce Jenny. Przecie pobierała pensję bajecznie wysoką, tak samo mieszkała, tak samo jadła, tak samo podróżowała i to samo widziała, co

dziedziczka miliarda. Jednak to właśnie przejmowało ją wstrętem i uczuciem poniżenia, zatrzymało jej każdą przyjemność.

Broniła się przed tem i nazywała to w sobie chorobą, zakażeniem miazmatami bogactwa.

Zwalczała się mężnie, wytrwale, bezowocnie. Aż pewnego dnia—było to w Londynie—otrzymała grzeczny list od swego wroga i wroga swojej pani, wyrodnego stryja Jenny, z zaproszeniem na konferencyę.

Poszła. Udała się tam wroga i opancerzona. Spędziła z Shurmanem dwie godziny w cztery oczy. Walczyła z nim mężnie, ale z sobą samą przegrała bitwę.

O niczem jeszcze nie mówili wyraźnie—ale słowo „milion“, choć nie było wypowiedziane, zadźwięczało głuchym, potężnym jękiem złota—jeszcze, jakby z pod ziemi.

Rozstali się obojętnie i zimno, ale mistress Brigs już była kupiona. Od tej chwili zaczęła się jej istotna opieka nad Jenny. Chimera spłynęła z niedościgłej wyżyny, zasuniała skrzydłami i znikła. Ale poszum jej skrzydeł przestał być szyderstwem bezpłodnego marzenia. Stał się hasłem bojowem o zdobycie świata, otuchą, nadzieją.

Mistress Brigs wzięła arkusz papieru i wyraźnie, spokojnie, wielkimi literami pisała obszerny, oficjalny telegram do stryja Jenny. Opisała mu ciężkie położenie chorej, zdawała sprawę z zarządzeń, które poczyniła, prosiła go o radę, jako głowę rodziny, i przygotowywała go zawnazasu do zniesienia najgorszej nowiny.

XI.

Nad Paryżem błądy, poczynający się dzień przebijał się przez ciężką, mroźną mgłę styczniowej nocy.

Tuman oparów, zrodzony na dalekich równinach, przybłąkany z nad zimnego morza, zapadł w kotlinę pokrętną Sekwany między jej zabudowane wzgórza i legł ciężko związany, obezwładniony przez morze dymów, przez wyziew życia potwornie stłoczonej milionowej masy ludzkiej.

Zbitą chmurą leżały mgły na ciemnych falach rzeki, szalenie wypełniały ulice i pokrętnie zakątki, wznosiły się ponad wieże kościołów, ponad kominy fabryk, przez szczeliny wciskały się do wnętrza domów.

A kiedy o zwykłej godzinie zaczęły przygasać latarnie uliczne, zda się, dalsza, jeszcze głębsza noc spadła na miasto.

Ponuro rozlegały się po pustych ulicach pierwsze odgłosy już obudzonych ludzi.

Głucho hurkotały ciężkie, ładowane, dwukolne wozy, ciągnące nieprzejrzane sznurami ze wszystkich krańców miasta ku głównym halom. Przenikliwe brzmiały głosy woźniców, pokrzykujących na koniec. Tłukły się blaszane kubły śmieciarezy, tu i owdzie ze zgrzytem już podnoszono żaluzje sklepów, otwierano szynki i kawiarnie. Z łoskotem, ziejąc parą, przemknął się pustymi ulicami, dając ku halom, pociąg towarowy.

Na tle mgły krwawo biły czerwone plamy latarni ze stacyi kolei podziemnej, lucztał głuchy grzmot przelatujących co chwila pociągów.

Po schodach stacyi „metro“ Châtelet, potracając przez tłum śpieszących się ludzi, wspinał się z trudem młody człowiek w niedbałym, nawpół sportowem ubraniu, o martwej twarzy, z gorączkowo świecącymi czarnymi oczyma. Spieszył się niezmiernie, ale nogi uginały się pod nim. Wydzierał się co chwila ruchem nieomal rozgrymaszonego dziecka podstarzałemu dżentelmenowi, odzianemu w wytworny strój balowy, wyglądający z pod rozchyłonego wspaniałego futra.

— Chłopcze drogi... Znowu jakieś głupstwo! Moheno, posłuchaj!

Po co tu wysiadasz? Po co ci było „metra”? Szanuj zdrowie! Bierzemy natychmiast „taxi” i spać! Przyjaciel ci to mówi.

I brał go mocno pod ramię, obejmował go w pól, jak dziecko. Ale Moheno szarpał się i wydierał nieudolnie. Ludzie, przebiegający mimo nich, śmieli się.

— Pijany jesteś — nie róbnij widowiska — spać, spać! Spiłeś się, jak szewc! Przyjaciel ci to mówi...

Moheno stanął u szczytu schodów, oparł się o balustradę i chciwie wciągał mroźne powietrze. Oczy biegły mu w posępną, pustą dal ulicy Rivoli. Czegoś tam szukał, na coś wyczekiwał z naprężeniem.

— Widzisz, mały, rozebrało cię na powietrzu. Dawajno łapę, idziemy spać. Widzisz, jakie głupstwo się stało — pijany jesteś, a tu ani jednego fiakra...

Ale młody człowiek wydarł się i pobiegł dziwnie szybko i sprawnie środkiem ulicy w kierunku Luwru. Opiekun zaklął, zakasał futro i popędził za nim.

Moheno stał nad wielkim kubłem ze śmieciami, jakie o świcie wynoszą z każdego domu, i bezmyślnie grzebał łaską w obierzynach i zdartych na strzępy papierach.

Człowieczek mały, obrośnięty siwą szczecina, z workiem na plecach, obdartus i wyjątkowy brudas, który szperał około kubła w porzucanych po ziemi resztkach, roześmiał się i poklepał go po plecach.

— Co? Wesoło było? Opowiadaj...

— Jak się masz. Dawno cię nie widziałem!

— O, dawno! Bardzo dawno, bo nigdy...

— Oj, nie łżyj! Miałeś knajpe w porcie w Vera Cruz?

— Gdzie?!

— Nie... To było w Alvarado! Dziewczyny u ciebie były zawsze najśliczniejsze! A co się stało z Domenicą? Pamiętajś? Ja będę zawsze pamiętał, bo to ona była pierwsza.

— Oho—ho... To my znajomi. I nie żał panu, że ja śmiecie zbieram? Ha, ha, ha!...

— Kara boska! Zupełnie słusznie! Czemuś dziewczynę sprzedał na angielski żaglowiec? Przecie ją zamęczyli majtkowie.

— To plotki. Ta panna jest cała i zdrowa.

— Co ty mówisz?! Gdzie ona?

— Kości zbiera, zaraz tu przyjedzie na wózk z osiołkiem.

— Dosyć głupstw! Nie widzisz, stary, że pan gada od rzeczy?

— O, przepraszam pięknie mi lorda — my tu sobie rozmawiamy grzecznie. My zdawna znajomi.

— No, to i dość. Chłopcze, idziemy.

— Wiesz, kto on jest? — mówił Moheno, kładąc jedną rękę na ramieniu śmieciarza, a drugą wskazując na starego dżentelmana.

— Skąd mam wiedzieć? Pewnie sam ambasador cesarza perskiego.

— To baron de Dambriers, znany złodziej. Jeszcze gorszy od ciebie. Tyś puszczał dziwki majtkom, a on sprzedawał rodzoną córkę. Szubrawiec... Możesz mu napluć w same oczy, a nie obrazi się. Pijanych do domu odprowadza i okrada po drodze. Za tysiąc franków da się bić po mordzie. Spytaj go, ile mi dziś ukradł? Jakiś wiek wychodzili z domu, miałem całe piętnaście tysięcy...

— Oho!... Oho!...

— A teraz nie! Nie mam na fiakra! Słuchaj, stary. Ja go będę trzymał, a ty szukaj po kieszeniach. Co znajdziesz, to twoje. Obłowisz się — najmniej dziesięć tysięcy. Trzeba go raz nauczyć.

Stary dżentelmen słuchał tego z niewzruszoną twarzą i ciągnął za ramię pijanego, prawiającego mu w same oczy najokropniejsze obelgi.

— Chodź, chodź!... Zimno, spać się chce dyabelnie... No, już, mój chłopcze... — przemawiał łagodnie.

— Dobrze... Idę... Ale...

Oczy śmieciarza śmiały się do brodusznie, ale w wynędzniałych ryśach czaiła się przenikliwa chytryść. Coś przeczuwał, coś odgadywał, myślał szybko.

Przesunął się przed nim jakby sen. Jakby się upił w jednej chwili. Patrząc za oddalającymi się panami, doznawał uczucia, że go okradziono. Jakaś bezczelna pewność siebie poderwała go z miejsca. Cisnął worek i pobiegł za nimi.

— Panie! Panie! A co ja powiem tej pannie? Ona zaraz...

— Domenica? Gdzież ona? Miała przyjechać na osiołku?

— Tak, na osiołku, ta sama! Jaka śliczna...

— Zaczekajmy, Dambriers. Ja ją kiedyś bardzo kochałem...

— Ruszajno, stary! Chcesz, żebym zawołał policyanta?

— No, no! Żebym ją go nie zawołał!

— Racya! Prowadźmy go do komisaryatu! Wszystko opowiem! Niech się raz skończą świństwa! Niech wsadzą jego i mnie! — zakrzyknął Moheno w strasznym podnieceniu.

Ale śmieciarz, zoczywszy opodał na rogu prawdziwego policyanta, pomknął cicho, jak kot, ukosem na drugą stronę ulicy i znikł.

Odnalazł się dopiero niedaleko od Pont-Neuf, gdzie dwaj nieznajomi spierali się o coś zawzięcie.

— Panie! I cóż będzie z Domenicą?!

— Prawda! O mało nie zapomniałem!!

— Dziewczyna tęskni...

— Masz tu dla niej... Wszystko mi ten złodziej zabrał... A ja już nie mam czasu, na nic już nie mam czasu...

I szybko zsunął z palca dwa pierścionki. Śmieciarz prawie wyrwał mu je z ręki, nie tracąc z oczu

ani jednego poruszenia starego dżentelmena.

— Dobrze... Dobrze...—mrucał. Ja jej powiem.

— Powiedz jej...

I nie dopowiedziawszy, Moheno puścił się pędem na most. Śmieciarz, którego baron de Dambriers trzymał już za kark, podział się gdzieś w niepojęty sposób. Klnąc i wołając o ratunek, stary pogonił za pijanym. Dopadł go wnet.

— Puść...

— O, dosyć tego, mój drogi...

— Puść! — daj mi przez chwilę popatrzeć na wodę...

— Moheno, bez głupstw!

Młody człowiek stanął na brzegu jednej z półkolistych galeryj, idących dwoma rzędami po bokach mostu, i chciwie zajrzał w dół. Dambriers trzymał go mocno.

Ponuro biegły czarne wody w martwych, kamiennych brzegach. Niezmierzona zdawała się być ich głębia. Biło od nich zimno śmierci—ostateczne zapomnienie trosk i radości, pokusa niepojętej przemiany.

Pochłonie woda w mgnieniu oka największą krzywdę, najokropniejszą podłość. Rozwiąże najtragiczniejszy węzeł nieszczęsnych losów ludzkich, obmyje każdy brud.

Płynęły w dal z czarnym nurtem zagasłe losy nieprzebranych kroci istot ludzkich, które tu znalazły wieczyste ukojenie. Już darowane są życiu ich zbrodnie i nieszczęścia. Wszyscy niewinni, spokojni i równi sobie w nicości...

Zamarły wśród ciszy nocnej ostatnie ich przedśmiertne jęki — kiedy w bólu i twodze przerywała się nie żywota. Bez echa i pamięci pluszcze fala śmierci. Idzie niezmordowana, niewyczerpana, zawsze gotowa. Odpycha, przeraża, kusi...

We mgłę blade kreśliły się zarysy drugiego mostu. Jeszcze paliły się na nim sygnałowe latarnie i rzucały na wodę głębokie, czerwone plamy. Mieniała się i kłębiła woda w tych miejscach, jak żywa, falująca krew. W mętym półmroku porczynającego się dnia z wirów i pokręconych prądów układało się i zamazywało co chwila inne, hieroglifami pisane słowo, tajemnic pełne.

W nieskończoność szły z obu stron i ginęły we mgłę dalekiej połamane zręby starych, ciemnych domów. Na prawo nieogarnione gmachy Luwru czerniały martwo, jak jednolita, okrzesa ściana skalna. Na rzece już dymił, pnąc się w górę, holownik. Schował się pod mostem, okrył wszystko duszącym, gęstym dymem. Zawył groźnie, długo, ponuro.

Moheno porywczco zasłonił sobie uszy rękoma. Ból wyrwał się na jego zbiedzonem obliczu.

— Oh... Oh, jak ona na mnie woła!... Patrz na rzekę, stary przyjacielu — przecie niema i nie będzie nigdy lepszej pory!... Puść mnie, rozstańmy się uczciwie! Daruj mi

wszystko... Chciałbym, żeby tu teraz stała moja matka... Ale nie — z nadto się wytarł po rynsztokach... O, matko! Nie dobrze jest, że mnie tu pożegna właśnie taka świnia, jak ty, Dambriers, pocałujmy się. Nie wiem, po co żyłem... Więc umieram zaraz... Puszczaj, puszczaj-że...

Nagle krzyknął i odskoczył od parapetu. Baron cofnął się również.

Przed sekundą zaledwie minął ich szybko jakiś obdarty i skulony z zimna człowiek. Baron pamiętał jeszcze jego dzikie i roztargnione niewidzące spojrzenie. Teraz ten sam człowiek, odszedłszy od nich zaledwie o kilka kroków, bez namysłu i bez jednego słowa przełożył nogi przez parapet i skoczył.

Znikł. Głucho odezwała się głębia. Ukazał się na mgnienie oka już dziwnie daleko i zginął we mgle, leżącej nad wodą.

Baron obejrzał się wokół wystraszony. Moheno uciekał ze wszystkich sił środkiem mostu. Stary roześmiał się nerwowo, widząc jeszcze, jak policyant, tęgi drab w pelerynie, zatrzymał go w locie i trząśł nim.

— Człowiek tonie!

— Gdzie? Kto?

— Skoczył z mostu, tuż przy nas!

— Tak jest! Już zatonął, widziałem. — rzekł baron, podchodząc do nich.

— Panowie znajomi?

— To mój przyjaciel, uciekał z wrażenia... Puść-że go pan... Idź lepiej ratować.

— Kto jego tam uratuje... Jaki on był? Kto porządny?

— Jakiś biedak... Nieszczęśliwy człowiek!

Policyant machnął ręką.

— Dziś ich będzie sporą. To z zimna. Przewłóczy się taki przez całą noc i nad ranem już nie może wytrzymać. A nieraz bywa — o tej porze wygonią ich rano z przytulku noclegowego — nie ma czterech sąsów na rozgrzewkę i wali do rzeki.

— A od czego policya rzeczna?

— Od wypadków! Ale jak kto z dobrej woli. Jeszcze by tam ludzi dla niego narażać...

Moheno słał się na nogach. Był już zupełnie wytrzeźwiony. Dygotał i trzymał się oburącz ramienia swego opiekuna. Dambriers zatrzymał przejeżdżający samochód i wpełnął przyjaciela.

— Dambriers... Od dzisiaj nowe życie. Najprzód chcę, żeby przez całą zimę wszyscy biedacy w Paryżu mieli gdzie spać. Żeby nie było już tego ani razu... O, Boże... O, Boże... Kto się tu zajmuje noclegami dla nędzy? Dam, ile będzie trzeba — na wszystkich! I na obiady! Tak. A potem zapisuję się na uniwersytet. Skończone ze świnstwem!

Dambriers uśmiechał się pod przystrzyżonym siwym wąsem.

— Oddawna ci to samo radziłem. Ale co nagle, to po dyable. Ubogi — święta rzecz! Zakupimy jutro sto tysięcy soupes populaires. Raptem tysiąc ludwików. To będzie tyle tej zupy, że wszyscy będą się

mogli w niej potopić! Uniwersytet — naturalnie, ale nie zapominaj, że na dzisiaj na godzinę pierwszą w nocy czekają na nas... tam. Tego zaś odkładać niepodobna. Okazy — jedyna w swoim rodzaju! Żebyś żył sto lat, to takich dziwów nie obaczysz, nawet za największe pieniądze. Wyjątkowy zbieg najszczęśliwszych okoliczności...

Moheno milczał.

— Jak poznasz w Paryżu już wszystko, dopiero się ustatkujesz i będziesz człowiekiem. A tak, w polowie drogi, zbalamucisz się tylko. Wierz staremu! Już niejednego wykierowałem na ludzi. Do pracy trzeba spokoju. Pohulamy jeszcze parę tygodni, potem cię zawiozę do San Remo, czy tam, gdzie zechcesz, wypoczniemy obadwaj, a na letni semestr zapiszesz się do Sorbony. Już ja cię dopilnuję.

— Dambriers, ja już naprawdę nie chcę! Już zupełnie nie mogę...

— Wwspij się najprzód, potem będziesz gadać.

— Nie, za nic w świecie...

— Dobrze, dobrze...

Dambriers dopilnował, że chłopca rozebrano i ułożono spać. Moheno usnął w jednej chwili. Baron surowo nakazywał służbie, żeby go zostawiono w spokoju aż do wieczora, i zabronił wpuszczać do niego kogokolwiek.

Słuchano go z najwyższym uszanowaniem, jakgdyby on tu był prawdziwym panem.

DCN.

MARYA SZPYRRÓWNA.

Dworek pod Lipkami.*)

U dworku Pod Lipkami okuta stoi brama,
u dworku Pod Lipkami sędziwy bieży mur —
tu piękna, smutna pani dumala niegdyś sama,
a lipy jej szumiły do tęsknych myśli wtór...

U dworku Pod Lipkami w troisty splot się wiąże
prastara macierz-lipa, podziwem więżąc wzrok:
stąd niegdyś w świat po Polskę odjeżdżał z Polski książę
w ów dzień, pamiętny sercom, w pamiętny sercom rok...

a na nim staroświecki dożywa wieku rym —
U dworku Pod Lipkami ciosany glaz cię nęci,
w bolesne dni rozłaki, na wieczną część pamięci,
swe smutki piękna pani zakleła w glazie tym...

U dworku Pod Lipkami srebrzyście szumi Wisła,
u dworku Pod Lipkami samotny duma krzyż —
wyblęsta zbrojna chwala, wyblęsta i — rozprysła,
a Ty, Rycerzu-Wodzu, wieczystem snieniem śnisz...

U dworku Pod Lipkami w jesienny zmierzch omglony
prastara lipa-macierz poszumne skargi śle —

*) Dworek „Pod Lipkami“ w Krakowie, niegdyś własność ordynatowej Zofii Zamoyskiej, pamiętny tem, iż d. 8 maja 1813 r. ks. Józef Poniatowski, po podwieczorku pożegnalnym, wyruszył stąd na ostatni swój bój. W parku glazy z napisami z owego czasu.

z klasztornych, srebrnych wieżyc zadusze płyną dzwony,
a drzewa szepcą pacierz poległym w dziejów mgle...

U dworku Pod Lipkami przechodniu, zwolnij kroku,
spójrzj na siwe glazy, na drzew sędziwych pleśń —
i niech ci w smutnej duszy zwątpieniu i omroku
z osiemset trzynastego rycerska zagra pieśń!...

AMELIA GRABOWSKA.

Między świerków kolumny.

Między świerków kolumny, w leśne kurytarze
chadzała dusza moja, miłości spragniona,
i wyciągała w pustkę łaknące ramiona,
i w powietrzu widziała zjawiskowe twarze...

I leśnych jagód chłodne całowała usta,
i w wód szumie słyszała dziwne przepowiednie...
W nocy łkała. Płakały suche oczy we dnie
i twarz zbiedlała nagle, jako lniana chusta.

I długo posyłane w przestrzeń słowa śpiewne
powracały samotne, jak były posłane,
i tak dusiły gardło, że nie mogło szlochać...

Aż kiedyś dusza w lesie spotkała królowę,
i ścichły tęskne pieśni, zagnała zastrachane,
że może cudna Pani nie zechce pokochać.

Rozdział XLI.

Wkrótce potem opuściliśmy Włochy, udając się w powrotną drogę do Anglii. Mieliśmy podróżować wolno, zatrzymując się w wybitniejszych punktach Europy, ale mnie myśl poznania ich nie sprawiła żadnej przyjemności.

Pierwszym naszym etapem było Monte Carlo, ten uroczy ogród Mediteranii, który zdaje się być uśmiechem Boga i przekleństwem człowieka.

Gdyby mi było dozwolonym przebywać wciąż z naturą, byłabym tam odetchnęła i uspokoiła się, lecz Alma, której chodziło o pozory, zabierała mnie ze sobą do Kasyna, a ja nie umiałam oprzeć się jej miodowym słówkom i namowom, pomimo, iż czułam doskonale ich nieszczerść.

Kasyno stało mi się wstrętnem od pierwszej chwili. Nie mogłam znieść tej ciężkiej perfumami i gorącością zdyszanych oddechów przesyconej atmosfery, tego ciągłego brzęku złota, krzyku krupierów i widoku miotanych niezdrową nadzieją, chciwością i rozpaczą twarzy, natłoczonych dokoła stołów. To też, jak mogłam najczęściej, wymykałam się, by patrzeć na kwiatowe zabawy na ulicach, lub wdrapywałam się na wzgórze La Tourbie, wyobrażając sobie, że jestem z Jurkiem Conradem na moich ojczystych skałach, lub wreszcie do mego pokoju i, siedząc przy oknie, patrzyłam na biedne, zranione gołąbki, jak wpadały w morze pod nieudolnymi strzałami okrutnych pseudo-sportsmenów.

W Monte-Carlo wszystkie złe skłonności mego męża wyjaskrawiły się jeszcze bardziej. Gorączka gry opanowała go całkowicie. Z początku szczęście mu sprzyjało, ale potem zaczął przegrywać i stał się wprost wstrętnym.

Pewnego wieczoru, około ósmej, siedziałam w moim pokoju, opatrując gołąbka o złamanym skrzydle, który wpadł, biedaczek, przez otwarte okno, gdy mąż mój wszedł rozczarowany, z oczyma świecącymi dziwnym ogniem.

— Karta mi się odwraca! — zawołał zdyszany głosem. — Dawaj prędko pieniędzy!

Miałam zaledwie parę sztuk złota w portmonetce.

— To daj mi czek.

Zwróciłam mu uwagę, że banki już zamknięte i czek na nie by mu się dziś nie przydał.

— Ale lombardy otwarte, a ty masz dosyć klejnotów. Przestań cackać się z tym ptakiem i daj mi co do zastawienia.

Obrzydzenie zatamowało mi głos w gardle. Milcząc, wskazałam mu

szufladę, gdzie były schowane moje klejnoty; on zaś otworzył ją gwałtownie, wziął, co mu było potrzeba, i, nie dodawszy już ani słowa, wybiegł z pokoju.

Nie widziałam go potem przez dwa dni. Trzeciego przyszedł wreszcie, wymizerowany, z zapadniętymi oczyma, i powiedział mi, że musi wyjechać natychmiast „z tej podłej dziury“. Inaczej zrujnujemy się wszyscy do szczeru.

Zatrzymaliśmy się następnie w Paryżu; tam, stanawszy w pierwszorzędnym hotelu na Polach Elizejskich, spotkaliśmy znów nasze egipskie i rzymskie znajomości w powrotnej drodze do rodzinnych pieleszy, przeważnie angielskich i amerykańskich.

Co do mnie, nie mieściło mi się wciąż w głowie, że może być tylu ludzi na świecie, nie mających nic do roboty, prócz bezmyślnego przewłoczenia się z miejsca na miejsce.

Mąż mój miał mnóstwo znajomości pomiędzy wykwiłtynymi paryżanami i znaczną część dnia przepędzał w ich towarzystwie, wieczorem jednak (może za namową Almy) oprowadzał nas po najplugawszych spelunkach.

Tolerowałam to zrazu, lecz przyszło mi na myśl, że jeśli w dalszym ciągu, bez względu na cel lub pretekst, będę brać udział w godnych pogardy rozrywkach mego męża, to stanę się do niego podobną i przywiodę duszę moją do zatraty. I od tej chwili wymówiłam się stanowczo i raz na zawsze od upokarzającej roli „przyzwoitki“ w nieprzyzwoitościach, jaką mi oboje z Almą narzucili.

Nazajutrz, po powzięciu tego postanowienia, poszłam do spowiedzi do kościoła Madeleine i nie zapomnę nigdy uczucia jakiejś dziwnie oczyszczającej mocy, jakie mnie ogarnęło po przystąpieniu do Komunii świętej. Na chórze organy grały mszę Perosi'ego, ślicznie dobrane głosy śpiewały *Gloria in Excelsis*, a mnie, klęczącej, zdawało się, że dusza moja ulatuje na skrzydłach tych głosów do stóp Przenajświętszej Dziewicy, której cudna postać wisiała nademną.

Z dziwnie lekkim sercem wyszłam po skończonym nabożeństwie z kościoła.

Dzień był prześliczny; świeże tchnienie wiosenne unosiło się w powietrzu; białe domy Paryża błyszczały w słońcu, a pod kaszanami Pól Elizejskich gromadka dziewczątek, wracających do szkoły po przyjęciu Pierwszej Komunii, bielili się wśród zieleni, jak śnieżne objawienie zablakanych chwilowo na ziemię aniołów.

Wzrok mój z rozkoszą spoczął na tej gromadce; wsłuchiwałam się w

niewinny, wesoły szczebiot tych słodkich twarzątek i sama czułam się dzieckiem, lecz, gdy przystąpiła próg naszego hotelu, opadły mnie poważniejsze myśli i mówiłam sobie, że oto święta i wielka tajemnica sakramentu, połączenia i miłości napeliła mnie mocą, dzięki której będę już mogła iść śmiało przez życie i znieść wszelkie zło, jakie mi sędzone jest napotkać, z wyrozumiałością i przebaczeniem.

Ale, och! jakże mało, jak nie nie wie kobieta o swoim sercu, dopóki go ogień namiętności nie ogarnie!

Wszedłszy do saloniku, który, jak zwykle, rozdzielał nasze sypialnie, ujrzałam moją pokojówkę, Price, podsłuchującą pod zamkniętymi drzwiami mego męża. Już chciałam ją złać za ten niestosowny postępek, gdy ona, położywszy palec na ustach, przysunęła się do mnie z roziskrzonymi oczyma.

— Mylady może mnie wypędzi, — wyszeptała — ale ja także muszę swoje powiedzieć. Mylady już i tak zawiele zniosła, ale proszę posłuchać trochę pod temi drzwiami i przekonać się, czy, jako kobieta i żona, może to mylady znosić dłużej.

I z temi słowy wyszła z saloniku, a ja stałam, iak wrośnięta w posadzkę. Mimowoli, ulegając jakimś wewnętrznemu popędowi, który był silniejszym odemnie, nadstawiłam ucha i usłyszałam wyraźnie dwa głosy w sypialni mego męża: jego głos, donośny i chrapliwy, i drugi, kobiecy, miękki i przyciszony.

Nie potrzebowałam zastanawiać się ani na chwilę, by wiedzieć, do kogo ten drugi głos należał. I nagle, poczucie krzwdy i zniewagi załota mi duszę, jak płomień. Byłam ofiarą zdrady i przewrotności męża i przyjaciółki, i tego mi już było nadto. Oczyszczający i łagodny wpływ Sakramentu rozwiął się, iak mgła. Stąpając zwicha po dywanie, podeszłam do drzwi sypialni mego męża i szybko ujęłam za kłamek.

Drzwi były zamknięte na kucz.

Usłyszałam szmer w pokoju, i szybko, jak błyskawica, wybiegłam na korytarz, by wejść drugimi drzwiami. Ale zanim zdążyłam to uczynić, usłyszałam, jak jakaś ręka odmyka ostrożnie zasuwkę. Wówczas pchnęłam drzwi i weszłam śmiało. W sypialni nie było nikogo, prócz mego męża.

Lecz zdążyłam wejść w porę, by usłyszeć szelest kobiecej sukni w sąsiednim pokoju i zobaczyć drzwi odeń zamykające się pocichu.

Pomimo, że na dworze słońce świeciło jasno, w sypialni panował półmrok od pozapuszczanych szczelnie rolet i firanek i unosiła się woń perfum, zmieszanych z dymem cygara.

Mąż mój stał pośrodku, z włosami w nieładzie i jakimś nawpół nieprzytomnym uśmiechem na ustach, ukazującym jego sterczące przednie zęby. Wydał mi się ohydny.



... Nadetawiałam ucha i usłyszałam wyraźnie dwa głosy...

— Cóż to za nieoczekiwana przyjemność! — wymówił pierwszy, widocznie nadrabiając miną. — O ile wiem, zdarza się to po raz pierwszy... po raz pierwszy, odkąd...

Ogarnął mnie jakiś śmiertelny chłód; miałam wrażenie, że zemdleję. Przemogłam się jednak i rzekłam:

— Czy to wszystko, co masz mi do powiedzenia?

— Wszystko? A cóż miałbym więcej, moja droga? Nie rozumiem...

— Rozumiesz bardzo dobrze — odrzekłam i patrząc na drzwi sąsiedniego apartamentu, i dodałam: — Rozumiecie oboje...

Zaczął się śmiać pijackim, idyotycznym śmiechem.

— Och!... myślisz, że... wyobrazasz sobie może...

— Słuchaj—przerwałam. — Teraz już wszystko pomiędzy nami skończone!

— Skończone? Alboż było co zaczętego?... Doprawdy, nie przypominam sobie...

— Zaprzestań drwin! — rzekłam nieco mniej pewnym głosem. — Chcę powiedzieć, że nie ścierpię już dłużej tej farsy nazywania się twoją żoną.

Zaśmiał się znowu.

— Farsy! Winszuję ci, moja droga. Znalazłaś doskonałe określenie. Nasz stosunek jest farsą od dnia ślubu, i jeżeli dziś można mi coś zarzucić, sama sobie przypisz winę. Trudno wymagać wierności od mężczyzny, którego żona obcuje tylko ze świętymi i aniołami.

Jego brutalna żartobliwość do-

tknęła mnie do żywego. Uczułam też, iż ze swojego punktu widzenia, mąż mój ma coś na swoją obronę i, nie mogąc mu dotrzymać placu, odwróciłam się, by wyjść z pokoju.

On wówczas otworzył przedemną drzwi i uklonił mi się z drwiącą miną bardzo nisko.

Wróciwszy do swego pokoju, ledwo zawlokłam się na łóżko; tak byłam osłabiona i złodowaciała, że Price musiała rozgrzewać mi nogi butelkami z gorącą wodą.

A potem lzy nabiegły mi do oczu i zaczęłam szlochać, jak dziecko.

Rozdział XLII.

Nazajutrz czułam się bardzo niedobrze i Price radziła mi, bym poleżała w łóżku, lecz wstałam natychmiast, usłyszawszy, iż mąż mój mówi o powrocie do Londynu.

Podróż odbyła się bez przygód. Siedzieliśmy w trójkę w przedziale kolejowym i w parowcowej kajucie, mając za jedyne towarzystwo Bimba, jannika mego męża, i Prue, pekińskiego wyżełka Almy.

Mąż mój, aczkolwiek nie przeprosił mnie za swoje wczorajsze postępowanie, był uprzejmy, a wytrzewiawszy, musiał zapewne myśleć o tem, że wkrótce przyjdzie mu się spotkać z moim ojcem, a więc z jedyńm człowiekiem na świecie, z którym się trochę liczył.

Alma również miała nieco wystraszoną minę; ale usiłowała pokryć ją zdwojoną dla mnie czułością, powtarzając często, jak jej przykro, że „najdroższa Maryjka“ niedobrze się czuje, że widocznie powietrze Południa mi nie służy, więc ona tem tylko się pociesza, iż ojezysty klimat powróci mi zdrowie.

Zajechaliśmy do wspaniałego hotelu przy Trafalgar Square i, gdy mąż mój wybierał pokoje dla nas, Alma ostentacyjnie zażądała apartamentu na innym piętrze.

Zainstalowawszy się, poszłam natychmiast do łóżka, poczęści dlatego, iż byłam istotnie zmęczona nad wszelki wyraz, a poczęści, by zostać samą i rozważyć, co mi dalej czynić wypada.

Mówiłam sobie, że tak czy inaczej, wszystko pomiędzy mną a moim mężem skończone, że nie ścierpię dłużej takiej sromoty, lecz będę żyć własnem, czystem, spokojnem życiem, którego tak łaknęła moja dusza.

W takim usposobieniu zasnęłam, ale gdy nazajutrz obudziłam się prawie o świcie, postanowienie moje poczęło słabnąć. Słuchałam głuchego turkotu gumowych kół powozów i samochodów pod memi oknami i, przypominawszy sobie, że nie mam żywej duszy w Londynie, do której mogłabym się zwrócić po radę i pomoc, uczułam się dziwnie opuszczoną i bezsilną.

Instyktownie zrozumiałam, że napróżno szukałabym poparcia u mego ojca; bo choć może natarłby porządnie uszu memu mężowi, to w

zadnym razie nie przyłożyłby ręki do rozerwania naszego związku.

Biedząc się tak nad swoim nie-
szczęsnym położeniem, postanowi-
łam wreszcie zatelegrafować do pa-
na Curphy, adwokata mego ojca,
i prosić go, by mi wskazał jakiego
prawnika w Londynie, do którego
mogłabym się udać po radę.

W tym celu zesłałam około dzie-
wiątej do hallu i w przytykającym
doń gabinecie usiadłam, by napisać
telegram.

Napisawszy, odczytałam go kil-
kakrotnie, zastanawiając się, czy
stać co złego nie wyniknie, gdy mi-
mowoli zaczęłam myśleć o Jurku
Conradzie.

I prawie w tej samej chwili jak-
ieś męskie kroki rozległy się w ga-
binecie, ktoś stanął po drugiej stronie
biurka, przy którym siedziałam po-
grążona w myślach, z blankietem te-
legraficznym w rękę, i nigdy nie za-
pomniany głos przemówił:

— Mary! to ty?

Podniosłam głowę; wszystka
krew buchnęła mi do twarzy, mgła
przesłoniła oczy. To był on!

Pochylił się nademną, wziął za
obie ręce i rzekł:

— Własnym oczom prawie nie
wierzę!

— I ja, — wyrzekłam, cała drżą-
ca — i ja!

— A jak dobrze wyglądasz! Mo-
że trochę zeszczipłałaś, ale taka róż-
owa!

— Jakże się cieszę. Jurku!
Jakże się cieszę!

— A ja! Oddawna tu jesteś?

— Od wczoraj wieczorem.

— Czy być może! My także
wczoraj dopiero weszliśmy do por-
tu. I pomyśleć, żeśmy stanęli w tym
samym hotelu i spotykamy się zaraz
nazajutrz. Istne przeznaczenie, jak-
by powiedziano na naszej wyspie.
Bo to naprawdę coś nadzwyczajne-
go.

DCN.

PRENUMERATA wynosi z przesyłką, po-
cztową, 4 rb. rocznie, 2 rb. półrocznie
1 rb. kwartalnie.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI
Warszawa, ulica Zgoda № 1.

Redaktor STEFAN KRZYWOSZEWSKI.
Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT”.
Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni
Chołoniewski, Kraków, ul. Dunajewskiego 1.

Druk Towarzystwa Akc. S. Orgelbranda S-ów
w Warszawie.

Z Kalotechniki.

Nr. 1. Włosy higienicznie kon-
serwuje częste mycie mydłem płyn-
nym Antrasolowem. Codziennie nacierać
skórę głowy Radiolem dla wzmo-

nienia cebulek i pobudzenia szybsze-
go porostu. Włosów na noc nie upi-
nać lecz splatać w warkocze.

Nr. 2. Zmartwionej. Aby wyle-
czyć cerę z króst i pozostałych po
nich znaków, trzeba przeprowadzić
kurację w Kalotechnice. Zastosowa-
ne tam masaże znakomicie wpłyną na
poprawę cery.

Nr. 9. Ręce trzeba pielęgnować,
paznokcie również. Wystarczy raz na
tydzień zrobić Manucure, oraz po u-
myciu wetrzeć w wilgotne jeszcze
ręce balsam Patti, a ręce będą aksa-
mitne. Manucure wytworne w Kalo-
technice wykonywa się przez uzdol-
nione specjalistki.

Nr. 4. Włosy zbyt ciężkie usunie
lekarz w Kalotechnice za pomocą ele-
ktrolizy, w godzinach przyjęć: cod-
zień od 4 — 6. Samej sobie można
usunąć depilatoirem Lotos, nie wy-
wołującym żadnych podrażnień. Ana-
liza włosów kosztuje rb. 3. Lekarz
zbada i zaleci odpowiednią kurację.

Nr. 5. Pieg i opaleniznę usunie
krem Lanol. Od węgów polecamy
płyn Vesta i Perelki alkaliczne. Od-
tłuszczają one i matują pięknie cerę.
Czerwoność nosa i rąk skutkiem od-
ziębienia usunie krem „Eros”.

Uwaga: Wszystkie te środki są
zaopatrzone w markę ochronną dla
odróżnienia od wykrytych bezwarto-
ściowych fałszyfikatów. Listy z zapy-
taniami należy skierować do Kalo-
techniki, Marszałkowska 116, telefonu
16-73, a odpowiedzi udzielamy bez-
interesownie.

Zarząd Kalotechniki.



Wanda Stokowska

WIERZBOWA № 3, telef. 204-43

poleca WSTAŻKI, WOALE, WACHLARZE, AKSAMITKI,
GAZY, KORONKI, GUZIKI, DŻETY, ŻABOTY,
HAFTY, PASMANTERYE, GALONY
POŃCZOCHY, RĘKAWICZKI, ŻAKIETY WŁÓCZKOWE,
oraz wszelkie przybrania do sukien.



MACZKA MLECZNA
Mag. KLAWE
najlepszy pokarm dla niemowląt.

INFORMACYE.

Panu Henrykowi S. Ażeby należy-
cie pielęgnować zęby, oraz dezynfekować
jamę ustną, należy używać wyłącznie pa-
stę „American”, zpreparowaną według re-
cepty prof. Miller'y z Bostonu.



Siwe włosy.

giną bezpowrotnie po jednorazowym użyciu
„Wody Pelanin”. Woda ta nie farbuje lecz przy-
wraca naturalny kolor włosów. Nie zawiera
tłuszcza ani osadu. Nie brudzi skóry, proszę
raz spróbować jeśli nie poskutkuje, przyjmujemy
z powrotem: skład główny perfumeryjny J. Wró-
blewskiej, dawniej Lipink. Wierzbowa róg Nie-
całej, telefon 75-56. Wysyłka za zaliczeniem.

MOR TĘPI RADYKALNIE
szczury i myszy
wyłączna sprzedaż
ST. STANISZEWSKI
Warszawa, Krak.-Przedm. № 31.
Skład apteczny i perfumeryjny.

„Au Délice”

CHMIELNA 14. Tel. 182-21.

Cukry, Czekolady, Kakao, Bisz-
kopy i wszelkie wyroby z fabryk
„Jan Fruzjański”, „Fuchs”, oraz Ro-
syjskich i Zagranicznych utworzonym
o czem zawiadamiam Sz. Odbiorców
8933 **BOGUMIŁA ZATORSKA.**

Nowość: zamówienia przyjmują
się przez telefon do godziny 10-ej
wieczorem, z odsyłaniem do domu.
W niedziele i święta sklep otwarty od
2do 5. Na prowincję za zaliczeniem.